TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK »GŁOSU NARODU«

Rok III — Kraków, niedziela, dnia 24 kwietnia 1938 r. — Nr 17

Dr H. Willman-Grabowska

ŚWIĘTO WIOSNY W INDIACH

(DOKOŃCZENIE)

W okolicach podhimalajskich każda wieś ma swoje wiosenne drzewo, raczej gałąź obwieszoną kolorowymi gałgankami. Gdy się to drzewo ma w dniu Holi palić, chłopcy z drugiej wsi, a przynajmniej z innego rodu starają się zerwać przynajmniej jedną kolorową szmatkę. Swoja wieś znów broni się zawzięcie i nierzadko staczają się prawdziwe bójki.

W okolicach Dżabbalpur (Indie środkowe) walczą ze sobą mężczyźni i kobiety. Mężczyźni otaczają kołem symboliczny słup wiosenny. Jeden z nich stara się dostać na wierzchołek i nawet w tym celu na słupie poprzybijane są deszczułki. Kobiety tymczasem starają się przerwać krąg i nie żałują razów mężczyznom. Najwięcej dostaje się temu, co wlazł na słup. Toteż ześlizgując się z niego coprędzej ucieka, a kobiety gonią za nim, okładając go co sił gałęziami tamaryszku lub po prostu kijami.

Podobny obraz konfliktu dwóch płci, rodzaj symbolicznego dramatu, widzieć można u Bhilów, leśnego plemienia na zachodzie Indyj. Tam przecież kobiety bronią dostępu do drzewa, czy do słupa, a mężczyźni usiłują przerwać krąg.

W plemieniu Gondów, mają zwyczaj umieszczać na szczycie słupa spory kawał cukru z melassą. Kto się na słup podczas udanej (czasem prawdziwej, gdy się zapalą) bójki kobiet i mężczyzn wedrze, zabiera cukier i z nim ucieka.

Na południu czasem wdziera się na słup za zgodą obecnych kobieta, jeżeli uczyniła taki ślub dla uzyskania syna.

Obrzędy te choć mają jednaki cel, a mianowicie zapewnienie urodzajów ziemi, a płodności kobietom, są tak różnorodne, iż niepodobna ich wszystkich wyliczać. I nie tylko po odległych wsiach spotkać je można. Wyższe klasy, nawet brahmańska, też się oddają zabawom na święta Holi. Ale tam zabawy te i żarty nie mają tak wyraźnie charakteru saturnalii.

Oblewanie wodą — a woda jest symbolem życiodajnego deszczu — należy też do ulubionych obrzędowych żartów. Młodzież zaopatruje się w szprycki, napełnia je żółtym lub czerwonym płynem i oblewa spotkanych poważniejszych mężczyzn i kobiety, wykrzykując przy tym żarty i przezwiska. Jest to wtedy dozwolone. Zasadniczo przecież jest sprzeczne ze zwykłym w Indiach uszanowaniem dla starszych i dla kobiet. Zanotować należy, że u Mahometan na północozachodzie, w pobliżu gór Hindu-Kusz, właśnie kobiety mają prawo w czasie tych świąt chwytać mężczyzn i zanurzać ich siłą w strumieniu. Dzieje się to nieco później, w lipcu, w epoce zbiorów, podczas gdy na całym Hindustanie, Cejlonie i Birmanii największe uroczystości odbywają się na wiosnę lub na przełomie naszej zimy.

Niektórzy pisarze angielscy i inni, znający faktycznie Indie, ale bez głębszego podkładu naukowego, mówią z oburzeniem o obrządku huśtania. Widzieć to bardzo trudno, bo i zabroniony jest policyjnie i zachował się chyba w oddalonych dżunglach południa. Ktoś ze wsi uczyni ślub męczeńskiego „dola-yatra" — gdyż zawsze oddaje się na to dobrowolnie, pod wpływem fanatyzmu. Przedzierżgnąwszy hak przez żywe ciało na plecach ofiary, zawieszają ją na belce i kołyszą. Zapewniano mnie, iż o ile się to gdzie jeszcze w ukryciu praktykuje, człowiek istotnie wisi na sznurze przewiązany w pół ciała. Ale hak tkwi w plecach. To wspomnienie dawnych ofiar ludzkich. Ma to sprowadzać deszcz dobroczynny dla zbiorów. — Obecnie huśta się posążek bóstwa; trzy razy w jedną stronę, cztery razy w drugą. Razem siedem — święta liczba.

Muzułmanie indyjscy liczą swój kalendarz podług ery Aklara, czyli od wstąpienia Akhabara na tron 19 lutego 1596 r. Stąd ich Nowy Rok przypadałby mniej więcej w tym okresie. Ale świętują raczej Nowy Rok ogólno-muzułmański i ten wypadł w 1937 na dzień 14. marca. Poprzedzają go i następują po nim uroczystości i procesje.

Muzułmanie indyjscy, szczególniej w prowincji Gudżerat, podobnie jak Hindusi, palą wtedy ognie, a mężczyźni przeskakują je z podniesionymi w górę mieczami. W niektórych miejscowościach brzemienna kobieta dla uproszenia sobie syna staje na pozostałych rozżarzonych węglach, lub też na węglach umyślnie zebranych w głębieniu ziemi i depcąc je szybko bosą stopą, gasi.

Wędrowania moje doprowadziły mię w tym czasie do Allahabad. — Allahabad, o którym chciałabym tak pisać, iżby słowa moje stawiły przed oczy (a i serca!) prastary, tyle razy rujnowany uczony gród! Ale to kiedy indziej.

Jest Muharram, obchód żałobny męczeńskiej śmierci Hasana i Husaina, synów Fatimy, córki Proroka. To zarazem Muharram, pierwszy miesiąc roku.

Rano budzi mnie głuchy huk. Nieopodal domu gromada ludzi (naprawiano wtedy ulicę, a robotnikami byli przeważnie mahometanie) otacza wielką beczkę ułożoną na koziołkach. Coraz ktoś podchodzi i wielkim drewnianym młotem uderza w dno beczki. Zwykłe nabożeństwo mahometańskie jest ciche. Inaczej w tym razie. A przytym zarówno do muzułmańskich jak i do hinduskich obrzędów przeniknęło dużo tych zwyczajów, o których już wspominałem, zwyczajów zachowanych z głębokiej przeszłości i pochodzących od różnych etnicznie grup ludzkich.

Ten huk brutalny a ciężki, ciągle w nierównych odstępach, więc nawet nie rytmicznie powtarzany, robi przykre wrażenie. Przykrość widać też na twarzy dra B., Hindusa. Obawia się, że znów będą zaburzenia, których terenem tak często staje się Allahabad. Uroczystości muzułmańskie skończą się procesją, w tym samym właśnie czasie, kiedy Hindusi będą obchodzili swój Rok Nowy i kiedy i ich tłumna i hałaśliwa, z bębnami i fletami procesja będzie przechodziła przez miasto. Jedni i drudzy będą podnieceni, sfanatyzowani; do szału zwłaszcza doprowadzeni mahometanie. Nie obejdzie się bez starcia, bez ofiar. Hindusi będą oskarżali policję, że ich, łagodnych i fizycznie dość słabych, świadomie wydaje na łup bitnym, zawsze wojowniczo usposobionym muzułmanom. Ci znów będą zawsze skarżyli, że Hindusi swoim hałasem i muzyką przeszkadzają im się modlić. Policja w razie zatargu przybędzie, jak wszędzie i zwykle, za późno.

Procesje to najciekawsza i najpiękniejsza część uroczystości wiosennych. Widziałam taką w starożytnym Wrindawana, obecnie nazywanym Brindaban, miejscu, gdzie boski Kriszna, wcielenie absolutu, przepędził swój wiek młodociany.

W końcu marca jestem jeszcze w Hardwar, gdzie Ganges, przebiwszy Himalaje szeroko wypływa na równinę. Tu się zaczyna sieć kanałów irygacyjnych, które dostarczą wody najbardziej oddalonym gospodarstwom północnych Indyj. Wody kosztownej, od wieków z trudem zdobywanej, drogo płaconej; wody życiodajnej, bez której Indie byłyby pustynią. „Drzwi Hari (czyli Wisznu)", Hari-dwara, różne nazwy na przestrzeni wieków nosiły. Mo-Yu-Lo zwie je pobożny pielgrzym chiński, Hiuen Tsang w w. VII; inaczej jeszcze zwą je dawniejsze legendy. Ale zawsze było świętym miejscem, w którym Wisznu pozostawił ślad swej stopy. Tysiące pielgrzymów (ostatnim razem przeszło pół miliona) przybywają, by obmyć się z grzechów w świętej wodzie Gangesu, w pierwszym dniu miesiąca Baisakh, po naszemu około 15 kwietnia — wiosenne święto religijne yogów i brahmanów. Albowiem uroczystości ludowe zostały w znacznej części związane z kultem czy boga Ognia, Agni, czy z kultem straszliwego Sziwy, czy jak tu, z kultem Wisznu. I palenie ogni inaczej się od-

Adolf Gajdosz

Pieśń wiosenna

(Z czeskiego przełożył Antoni Brosz)

Miliony atomów szklanych bolońskich łezek leży na chodnikach
w słonecznym ogniu tonących alei.
Różowa zorza rozlała się po nagich konarach akacji,
ludziom na twarzach zakwitły rumieńce nowych nadziei.

Miasto czarny korab kołysze się na wzburzonej wodzie,
nad nami faluje nieobjęty ocean modre boskie morze,
na nim w przepychu i blasku droga odwieczna konającej łodzi
w błyszczącym ornacie, który złotym żarem gorze.

W południe ponad naszymi głowami staje krzak płonący,
dzwony katedr pokornie w spiżowe piersi się biją
pokój wszedł w serca wieczny — Wszechmogący
niewidocznie, lodową do nas wszedł zakrystią.

Pożar porwał fabryczne kominy
tkwiące zeschłe kadłuby drzew w odzieniu wapiennym —
krzyże, ogniste banie zielonych wież, na których śpiewa
radosne ptactwo niebieskiej eskadry,
tłumy na placach,
dzwoniące tramwaje,
szalone pędem limuzyny
i żebraka, co o kulach się wlecze po ścieży kamiennej...

Po czwartej po południu rozgorzał zachód jak szafranowy łan,
zszarzałe niebiosa odziały się w wiosenny parasol
popielate baranki wbiegły do szałasu...

Nad przestworzami niebios zapatrzył się Chrystus Pan — — —

bywa: przypomina raczej nasze puszczanie wianków na wodę.

Cały dzień spędziłam w podgórskiej osadzie yogów, w Riszikeś. Upadając ze zmęczenia, wracam do pustelni Kankhal, gdzie członkowie Zgromadzenia Ramakriszny użyczyli mi na czas pobytu gościny. Chcę tylko spać i oświadczam, że wolę zrezygnować z podróży do Briudaban, niż tak ledwie dysząc jechać w świat.

— „Jakto? nie chce pani odwiedzić najświętszego miejsca w Indiach? Nie chce pani ani pochodzić po ziemi, po której Kriszna chodził, ani uczcić jedynego miejsca na świecie, gdzie ukąszenie Kobry leczy się samo pod świętym drzewem nyagrodka?... Ma pani jeszcze godzinę czasu na odpoczynek i kąpiel"... Kąpiel, naturalnie, zimną.

Swami, wydelegowany do opiekowania się mną ma rację. Świątynie Kriszny, zresztą częściowo tylko dostępne dla europejskich barbarzyńców, trzeba zwiedzić. A mam list do mahantha, t. j. w tym razie do przełożonego kolegium młodych chłopców, cząstkowych wcieleń Kriszny. Ma on zarządzić, by ci młodzi półbogowie wykonali w mej obecności święty taniec. W mej obecności, jako osoby, która zna święty język dawnych Indyj, zna świętą przeszłość tego upokorzonego ludu, która itd. itd., i której bytność wyjątkowo nie znieważy kolegium. List wiozę ze sobą aż z Kalkuty. Pisał go mój dawny kolega z Paryża, obecny też kolega po fachu, lingwista. Napewno pismo będzie skuteczne; trzaba by skorzystać... Przedłużyć pobyt w Indiach i wsiąść na Conte Verde (powrót zapłacony) dopiero w końcu maja? Bo jeżeli teraz opuszczę kolej, to trzeba będzie czekać aż statek wróci do Europy, stamtąd znów pojedzie do Szanghaju i w drodze powrotnej dopiero mnie zabierze. A urlop, już przedłużany, kończy się w kwietniu... A oprócz tego, chwilami, jakaś szalona tęsknota. „Tylko samotny jest naprawdę silny", woła gdzieś we „Wrogu ludu" Ibsen. Chyba się mylił stary Norweg. Dobrze to mówić o samotności na kilka godzin dziennie. Ale stale po 24 godzin na dobę? Może dla bardzo samodzielnych jednostek. Dla mnie — nie.

Po godzince wstaję. Wrzucam do walizy — wytrwałej, bo nie rozleciała się w drodze! — ubranie (to okazało się mniej wytrwałe), buciki cierpliwie i powoli się drące, jabłka, pomarańcze i w ogóle nie dojedzoną kolację; kładę na siebie, co mam najcieplejszego, bo od gór chłodny wiatr zawiewa... Pomaga mi się wybrać jedna pani, Hinduska; ascetka? entuzjastka? Gdzieindziej opowiem o ludziach i o rzeczach; tu jedynie garść z wierzchu, ze skrzyni wrażeń. — Żegna mnie jak siostra. Idę jeszcze podziękować „opatowi" za gościnność. Już noc, ale on wstaje; daje mi na pamiątkę buteleczkę wody Gangesu i różaniec. Przed ogrodem już czeka tongah, zaprzężona w małego konika. W półtorej godziny po tym, gdy pociąg rusza, widzę w nikłym świetle naftowej lampy małej stacyjki szafranową szatę odchodzącego w mrok swami. Obraca się. Składa jeszcze raz ręce i podnosi je do czoła. — Myślę, że oto ostatniego dnia nie zdążyłam być na nabożeństwie, odprawionym w misji przez przybyłych z dalekich okolic sadhuów i swamiów. Bo z okazji święta rozpoczętej wiosny odbywało się w klasztorze rozdawnictwo jedzenia, lekarstw, wsparć itd., i drogi, wiodące do pustelni nagle zakwitły szafranową barwą. Gdy przed wyjazdem wyraziłam z tego powodu żal, swami, któremu byłam na ten czas zleconą, odpowiedział poważnie: „Widziała pani naszego przeora, on był towarzyszem Wiwekanandy... to więcej znaczy niż modły sannyasinów"...

Do Muttra — dawne Mathura, miasto znakomite w historii Indii, znakomite w ich dzisiejszym życiu religijnym, pełne świątyń, brahmanów, przebiegłych handlarzy i trędowatych żebraków — przybyłam spóźniona. Pociągi w Indiach na ogół bardzo dobrze chodzą, ale mimo dobrą organizację angielską, bywa czasem inaczej. Zdarzyło mi się w Benares czekać półtorej godziny na stacji, za daleko, by wracać do hotelu, za krótko, by coś przedsięwziąć. Byłam wtedy pastwą żebraków, przeważnie ślicznych, prześlicznych hinduskich dzieci. — Ale dajmy dziś pokój wspomnieniom.

O tym, kiedy indziej, jak jechałam do Brindaban, jak umawiałam się o tongę z chmarą muzułmańskich woźniców — — jak szukałam po wąskich, wyłożonych gładkimi płytami uliczkach miasta owego przełożonego kolegium, o mnóstwie szalenie ciekawych spostrzeżeń, które mogłabym czynić, gdybym nie była wtedy tak zakłopotana i tak usilnie udająca pewność Europejki pod wewnętrzną obawą.

Piąty z udzielanych mi kolejno adresów okazał się prawdziwy. Dzwonię, pukam, szturmuję. Przez artystycznie wyrznięte, okratowane otwory w drzwiach widać obszerną, kamienną białą sień, za nią w rodzaju atrium, otoczonego wysokim murem. Nad moją głową, na wysokości pierwszego piętra, na balkonie — nie na balkonie, bo bez ogrodzenia, ale jak to nazwać? — siedzi, naturalnie na sposób wschodni, kobieta. Nieruchoma, nieruchomym wzrokiem patrzy na mnie. Krzyczę, jak mogę najwyraźniej, o co mi chodzi. Jej obojętność nie przybiera nawet odcienia pogardy. Wreszcie ukazuje się za drzwiami jakieś młode pokolenie, wyłącznie żeńskie. Sezam rozchyla się nieco. Oddaję list, który ma mi otworzyć wszystkie wrota. Niestety, pan domu wyjechał onegdaj; pani domu, ta co siedzi nade mną, nie otworzy listu do męża, a nie rozumie nic, prócz własnego narzecza. Rezygnuję. Wracam do tongi, wyjeżdżamy na dość szeroką ulicę, też wyłożoną, jak wszystkie inne, płytami, gdy wtem tłum, zbiegowisko, krzyki, śmiechy nawoływania — nadchodzi procesja. Już widać z daleka słonia jak posuwającą się górę. Cofać się coprędzej w tę samą wąziutką uliczkę.

Na przedzie orkiestra: to głuche „męskie", to drobno sypiące „żeńskie" bębny i ostre, przenikliwe flety; wrażenie czysto niesamowite. Za nimi starsi miasta niosą jakieś insygnia, a w ostatnim szeregu, najpoważniejsi widocznie, niosą srebrne, artystycznie zdobne buławy i srebrne maczugi. A dalej część świątynna. Idzie gromada młodych — lat 16—18 — chłopców. Na białe dhoti (dhoti odpowiada pojęciu spodni u nas) spływa ciężkimi fałdami brązowo czerwony płaszcz. Inni, zwyczajem brahmanów, mają prawe ramię odkryte, ramię jakby liana ze spiżu. Włosy krótko ostrzyżone, na czubku głowy dłuższy kosmyk, policzki uczerwienione farbą. Stąpają dumnie, nikogo nie widzą; są nad tłumem. Wcielenia boskiego Kriszny. Zdaje się, że gdyby nie wiem co się zdarzyło wśród tłumu, który ciasno zwarty po bokach, okrzykiem i entuzjazmem wita procesję, nicby ich hardej, pewnej postawy nie naruszyło. Za nimi, ciężko i powolnie się kołysząc, trąbą jak wahadłem poruszając ciemna masa słonia. Od wierzchu głowy aż do końca trąby pomalowany w deseń geometryczny, jakby siatkę amarantową i białą. Na grzbiecie dźwiga ozdobny, barwny pankin, a w nim „devadasi", służebnice boga, brahmów i pobożnych pielgrzymów, hieratyczne kurtyzany. Na ich widok zapał ludności nie zna granic. Ze wszystkich okien rzucają ku nim fioletowe lub pąsowe serpentyny. Śliczne, ślicznie wymalowane, o oczach przedłużonych do skroni, o wydłużonych łukach brwi, okryte szkarłatnymi czy fioletowymi w gwiazdy „sari", obwieszone świecidłami, z tiarą na głowie, dziewczęta te śmieją się, chwytają serpentyny, ciskają na chłopców fioletowy proszek, walczą pociskami wstążek, kolorowej wody ze szprycek.

Dojrzały mnie, która niebacznie, zamiast siedzieć w tondze, stanęłam u wylotu uliczki, nieco za tłumem. Nie wiem, co błysnęło w ich oczach; pewnie nie miłość. Porwały się, zaczęły garściami rzucać ku mnie proch, ku uciesze publiczności. Niebawem suknia moja z brązowej zrobiła się fioletowa, fioletowe miałam ręce i beret, który nacisnęłam sobie na oczy. Aż jedna chwyciwszy kawał zbitego prochu wycelowała mi prosto w twarz: nie trafiła, gdyż zdążyłam się odwrócić. Zrobiłam groźną minę, choć w gruncie rzeczy już się bałam. Podeszłam do tongi, powoli, by nie zdradzać strachu i nie rozochocić tym samym młodszej publiki. Woźnica mahometanin jął mnie otrzepywać i złościć się: wiadomo, że gdyby się to niedobrze skończyło,

---

Adam Bar

Wśród książek

W zeszłym roku zasłużona firma księgarsko-wydawnicza Gebethner i Wolff w Warszawie obchodziła osiemdziesięcio-letnią rocznicę swego istnienia. Dla upamiętnienia tego ważnego jubileuszu firma wydała ciekawą książkę **Jana Muszkowskiego p. t. „Z dziejów firmy Gebethner i Wolff 1857 — 1937"...** Z niewielkich zaczątków firma zyskała sobie szybko rozgłos wśród społeczeństwa i zdobyła kredyt zaufania. W niedługim czasie tutaj właśnie zogniskowało się wszystko, co najdoskonalszego polska kultura wydała, poeci, powieściopisarze, uczeni od Kraszewskiego, Sienkiewicza, a skończywszy na najmłodszych wydawali tutaj swoje najwybitniejsze dzieła. Ten kredyt zaufania, który zdobyła sobie firma w społeczeństwie, jest niewątpliwie jej najcenniejszą zdobyczą. W książce Muczkowskiego znajdujemy historię firmy i obraz jej działalności księgarsko-wydawniczej. Zjawia się przed naszymi oczami ważny odcinek naszych dziejów kultury, w które firma tak wybitną odegrała rolę, zarówno przez szereg wybitnych dzieł naszej literatury pięknej, czy też dzieł naukowych (że wspomnieć piękną i znaną dziś w całej Polsce „Literaturę" Chrzanowskiego), jak również przez wydawnictwa szeregu czasopism, począwszy od „Kuriera Warszawskiego", a skończywszy na „Tygodniku Ilustrowanym", „Naokoło Świata" i „Ruchu Literackim". W ostatnich czasach firma podjęła również wydawnictwa niewątpliwie wybitnej wartości, jak publikacja Pism Prusa i Orzeszkowej. Biorąc to wszystko pod uwagę stwierdzić można, że jej osiemdziesiąta rocznica jest również świętem polskiej kultury.

Nowy tom znanego wydawnictwa „Cuda Polski" zawierający pracę **Aleksandra Patkowskiego p. t. „Sandomierskie, Góry Świętokrzyskie"** (wyd. R. Wegner w Poznaniu) jest nie tylko bardzo cenną publikacją, ale również książką, która szczególnie dzisiaj w okresie tworzenia się Centralnego Okręgu Przemysłowego posiada wybitną aktualność. Mówi się obecnie bardzo wiele o Sandomierskim, warto więc poznać ziemię ciekawą nie tylko jako teren naszej ekspansji przemysłowej, ale również ziemię, z którą wiąże się wiele wspomnień historycznych. Zwłaszcza, że opowiada o niej Aleksander Patkowski, Sandomierzanin z urodzenia i wychowania, bliski tym wszystkim, którzy w czymkolwiek na przełomie wieku i dziejów współczesnych tę ziemię głośną uczynili, wydawca znanego i wysoko cenionego „Pamiętnika Sandomierskiego", redaktor krajoznawczej „Ziemi" i wieloletni wiceprezes Zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a przede wszystkim doskonały znawca przeszłości historycznej jak też teraźniejszości Sandomierza i jego okolicy, wreszcie Gór Świętokrzyskich. Patkowski odstępuje od schematycznego na ogół układu innych tomów „Cudów Polski", i na najzupełniejszą słuszność, bo i sam temat siłą rzeczy narzucał inny kąt widzenia i skłaniał go do innego rozplanowania materiału. Opowiada o geologicznej przeszłości ziemi, mówi o człowieku, jednak nad tymi sprawami szybko przechodzi do porządku dziennego, i zagłębia się w przeszłość historyczną, o której mówi żywo, barwnie i entuzjastycznie. Widać, że Patkowski gorąco kocha ziemię sandomierską, że nie poznał jej tylko przygodnie, aby napisać książkę, ale że się z nią zrósł wszystkimi swoimi uczuciami. Zaczawszy od tego, co niesie tradycja o ziemi sandomierskiej, mówi o braciach zakonnych i świętych pannach, o renesansowych godach, o zamkach, klasztorach i dworach, i o ludziach, którzy z nim żyli, słowem tworzy szeroki obraz historycznej przeszłości nie zapominając jednak również i o teraźniejszych czasach. Ten odskok między dawnymi a młodymi laty rzuca się w oczy. Świetna przeszłość związana z Sandomierską ziemią przesuwa się przed oczami czytelnika, którego wyobraźnia zaludnia w ruinach stojące zamki i różne miejsca historyczne. Liczne ilustracje ożywiają tok opowiadania, lecz także czynią z wydawnictwa publikację, którą wydawcy mogą się chlubić.

Niewiele jest w naszej literaturze dzieł tak szczerze polskich jak najnowsza książka **Jana Wiktora p. t. „Od Dunaju do Jadranu"** (wyd. Książnicy — Atlas). Wiktor w zeszłym roku razem z akademickim zespołem teatralnym studentów Uniw. Jagiel. odbył podróż do Rumunii, Bułgarii, i Jugosławii. Opisał też swoje wrażenia w książce, którą trudno jednak zaliczyć do literatury podróżniczej, rejestrującej zazwyczaj dość szablonowo zabytki i miasta i te czy inne sceny i obrazki; nie można jej właściwie zmieścić w żadnej formie literackiej. Ani książka podróżnicza, ani impresje literackie, raczej wielki rachunek sumienia patriotycznego. Choć to jeszcze nie jest wszystko. Wiktor posiada najbardziej wrażliwą duszę ze wszystkich naszych współczesnych pisarzy. Racjonalizowanie wrażeń, segregacja uczuć jest u niego niemożliwa i nie do pomyślenia. Patrzy na wszystko oczami pełnymi szczerego współczucia, bieda, niesprawiedliwość wyciskają się mocno w jego wrażliwości. Z tą nutą społeczną, odzywającą się w jego książkach najwyższym tonem, wiąże się również i zawsze głos szczerego patriotyzmu. Dlatego ta książka o Rumunii, Bułgarii i Jugosławii jest bardzo osobliwa. Niewątpliwie Wiktora wszystko ciekawi i Bukareszt, ów Paryż Wschodu i spalona słońcem Dobrudża, Białogród czy Oplenac mauzoleum królewskie, to są wszystko rzeczy niesłychanie interesujące i ludzie godni uwagi, ale ponad wszystkim jest sprawa najważniejsza — Polska. Zawsze i w każdej okoliczności w jego myśleniu wszystko kojarzy się z Polską, począwszy od tego kolejarza bułgarskiego, który marzy, aby kiedyś zobaczyć Kraków, a skończywszy na pisarzach bułgarskich, czy serbskich, wszędzie gorąco szuka polskiego serca. — Sam tę Polskę czuje każdym drgnieniem swojej wrażliwej duszy, toteż upaja się najwyższą radością, gdy ten ton odkryje w sercach cudzoziemców. Kto też ma polskie serce, będzie czytał tę bardzo osobliwą książkę z prawdziwym wzruszeniem. Czyż można się n. p. temu wzruszeniu oprzeć słysząc tego bułgarskiego studenta, który deklamuje Mickiewicza, albo pisarzy i wybitnych uczonych mówiących o nas z wielkim pietyzmem. Ta właśnie polska nuta, przenikająca każde słowo Wiktora jest najcharakterystyczniejszą cechą jego książki. Ale równocześnie nie zaniedbuje i elementu opisowego, chwyta sceny najznamienniejsze, unikając starannie snobistycznego zachwytu nad wszystkim bez wyjątku, bo to obce, pragnie wydobyć to jedynie, co najdobitniej mówi o kraju i ludziach. Dzięki temu jest to książka żywa, plastyczna i ciekawa. Wiktora najwięcej interesuje człowiek i jego życie umysłowe. — Toteż styka się z wielu wybitnymi ludźmi, prowadzi z nimi rozmowy, dyskutuje i ciągle myśli o Polsce. Ta myśl wiąże się w jego książce z każdym momentem; niekiedy serce ściska się bólem, kiedy indziej podnosi dumą, czasem ogarnia wstyd, a po tym przelewa radość. Te uczucia krzyżują się w jego książce, doskonale malując nie tylko nastroje, ale może najwięcej pisarza. Kto chce poznać psychologię Wiktora, zrozumieć jego duszę i tym samym zdobyć klucz do jego nuty twórczej, powinien przeczytać nie tyle jego powieści, ale właśnie tę książkę podróżniczą. Bo w niej najła-

i jemu by się coś dostało.

Tymczasem procesja przeszła; za nią pociągnęła większość rozbawionych. Trzebaż było się jakoś oczyścić. Uważałam, że dom, do którego poprzednio bez powodzenia próbowałam się dostać, jest mi w porównaniu do innych — znajomy. Zawracam więc, dzwonię, żądam wody. Żądam, nie proszę. Po dość długim czasie wynosi mi starsza i młodsza dziewczyna metalową wazkę z wodą. Ostrożnie polewa mi z góry ręce. Jestem tak podniecona, że zapominam o przepisach. Chcę pić; porywam więc naczynie i zbliżam je do ust. Widzę, jak dziewczyna drgnęła; druga też cofnęła się. Bo oto naczynie albo trzeba będzie wyrzucić, albo wypalić je węglami, potym szorować popiołem, wreszcie obmyć wodą, wymawiając odpowiednie formuły oczyszczające. Są to córki, czy służące p. Ch. D. G., człowieka wykształconego, zajmującego zresztą stanowisko urzędowe. Tego by dotknięcie Europejki nie splamiło, ale co połowa męska domu, to nie żeńska.

Jedziemy z powrotem przez miasto, które już rano zwiedzałam i po którym błądziłam. Zdaje się, że mój woznica umyślnie mnie wiezie przez dzielnicę bazarową. Cóż na to poradzę? Jestem w jego mocy. Ale wiem, że jemu idzie tylko o większą ilość rupii. W pewnej chwili staje: pić mu się chce; już zbyt zmęczony tym jeżdżeniem, gorąco itd. itd. Staje się agresywny. Mówię do niego ostro i krótko; każę iść się napić: Sama czekam na wózku. Korzystając z tego urwisy, ze szpryckami biegające tu i ówdzie. Brzeg mej sukni oblany jest żółtym płynem. Czynię się groźna, ale nie za nadto: gdy idzie o dzieci, trzeba z Hindusami bardzo ostrożnie. Woźnica wraca: bajeczną sumę zapłacił za szklankę wody sodowej. Mówię mu, że nie wydał naprawdę, ale darowuję mu resztę. „Memsa" (pani) nie jest naiwna, ale jest szlachetna, więc wszystko w porządku. Lekceważy się tych, co dają się zbyt łatwo oszukać.

Swoją drogą, gdy już jesteśmy na gościńcu na drodze do Muttra, widok posterunku policyjnego nie sprawia mi przykrości.

Czekały mnie jeszcze inne niepokoje, a raczej mniej lub więcej zabawne utarczki w samej Mathurze. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Wieczorem siedziałam przy obiedzie w zacisznym domu misjonarza katolickiego, Father Emilias, w towarzystwie młodego małżeństwa anglo-indyjskiego. Wszystkich troje poznałam kilka godzin temu, przypadkiem. Wszyscy troje bardzo sympatyczni i dla mnie niezasłużenie dobrzy. Czemuż te słowa nie mogą być dla nich pozdrowieniem? Oni czytać po polsku nie będą, mnie zaś zdolnością do prowadzenia korespondencji myślą los zapomniał obdarzyć. Ślę im, jak i wszystkim moim przyjaciołom w Indiach, serdeczne w tej porze wiosennego Holi wspomnienie.

Rozrywki umysłowe Nr 17/108

pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.



W numerze dzisiejszym rozpoczynamy nasz **III. Konkurs Zadaniowy**, który obejmować będzie 20 różnorodnych zadań. Rozwiązanie z każdego numeru nadsyłać należy w 2 tygodnie po ukazaniu się numeru, rozwiązanie podane będzie w 3 tygodnie. — Ważna data stempla pocztowego. Za rozwiązanie zadań tych rozlosowane będą 3 nagrody: I-sza za rozwiązanie wszystkich zadań, II za rozwiązanie choćby kilku. III „nagroda pocieszenia" rozlosowana będzie między tymi, którzy nie uzyskali żadnej z dwóch pierwszych, choć mieli dane do losowania.

—oOo—

III. KONKURS ZADANIOWY.

Zad. 1. — REBUS — (5 PUNKTÓW).
uł. **„Dziadek z Bakszty"** — czł. Kl. Szar.

ZAD. 2. — SZARADA — WIERZ! (5 PUNKTÓW)
uł. **„Kasta"** — czł. Kl. Szar.

Siedem, że wiosna przyszła, dziewczyno!
że blizki słowik i bzy,
że skowronkowe arpedżia płyną,
żeby osuszyć Twe łzy!
Siedem, że pierzchły zimy potwory,
za morza spiesząc na gwałt,
wspak pierwszy - siódmy raz - sześć do nory
od sadyb naszych **trzy - dwa!**

Siedem, że płyną ciepłe powiewy,
które **trzy - cztery - pięć sześć**
wywoływać pąki na zmarzłych drzewach
i kwiatów naręcza nieść!
Siedem, że **drugie - trzecie** paproci
zakwitnie, **cztery - ośm** skra,
i **ósmy - piąty** świat snów pozłoci
w Kupałnockowych grach!

ZAD. 3. — LOGOGRYF (4 PUNKTY).
uł. **W. Nosé** — czł. Kl. Szar.

Znaleźć 16 wyrazów pięcioliterowych podług podanych znaczeń, litery skrajne (początkowe i końcowe), dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. ptak, odmiana sokoła, 2. ssak przeżuwający, zbliżony do żyrafy, 3. zaskok, wygięcie części statku, 4. imię męskie, 5. szpilecznica, 6. roślina z rodziny wrzosowatych, 7 waga złota i drogich kamieni, 8. obraz (l. mn.), 9. członek z plemienia tursko-tatarskiego w Afganistanie, 10. miasto czczone przez mahometan, 11. japoński malarz pejzaży, (1752—1808), 12. inaczej kurcz, 13. przyrząd sportowy (l. mn.), 14 kamień szlachetny, 15. parów, wąwóz, 16. Iława po niemiecku.

ZAD. 4. — SZARADA (4 PUNKTY).
uł. **„Anerg"** — czł. Kl. Szar.

W Hiszpanii dziś głucho i cicho —
umilkły śpiewy, zanikły tańce...
Plon wojna swój zbiera, (nie śpi licho!) —
stary i młody poszedł na szańce.
Czy dawno, jak tam inaczej było?
Gwar i wesołość, śpiew, sarabanda...
Ej, życie tam było! czy się śniło
ludziom, że nędzarzem ujrzą granda?
Raz - druga grandów, wielkich magnatów
nie prędko **dwa - trzy** mocno na nogach,
póki czerwonych panują katów
nieludzkie rządy w Hiszpanii grodach.
Niejeden **dwa - czwór - drugi** polityk
suszy swą głowę, szukając wyjścia, —
w jednym nadzieja spośród elity,
w Franco, zwiastunie nowego życia.
On, **czwór - półdrugi - pół trzeci** woli
kraj wyprowadzi z wojny odmętu,
rychło z przepaści wywiedzie, powoli,
a wówczas w kraju będzie już święto!

Skrzynka pocztowa. P. T. PP. Autorów uprzejmie prosi kierowniczka działu R. U. o nadesłanie zadań na 3 maja i na „Dni Krakowa". — Pożądane są zadania różnego typu.

KUPON Nr 17/108
ważny do 8 maja b. r.

twiej „odczytać" Wiktora.

Dość często pisze się u nas o Brazylii, posiadającej ogromny procent polskiej emigracji, która żywo interesuje różnych pisarzy starego kraju. — Z drugiej strony egzotyczna przyroda, pierwotny tryb życia, sprzyjającego wyjaskrawieniu różnych namiętności, to wszystko ułatwia pisarzowi „poddanie" czytelnikom wielu emocjonujących scen. — A jednak w naszej literaturze pięknej, poza Konopnickiej „Panem Balcerem w Brazylii", jest to temat prawie nieznany. Więc dlatego pierwsza powieść **Bohdana Pawłowicza p. t. „Wojciech Mierzwa w Paranie"** (ukazała się obecnie w drugim wydaniu, zwróciła powszechną uwagę z jednej strony, jako jeden z szczęśliwych debiutów, a z drugiej ze względu na oryginalny temat. Pawłowicz zna doskonale naszą emigrację zżył się z nią zupełnie, przesiąknął jej nastrojami i tendencjami, bo inaczej nie umiałby stworzyć obrazów tak plastycznych i tchnących prawdą. Co więcej, nawet w stylu, przepełnionym słownictwem, znanym mało w kraju, widać że zrósł się doskonale z naszą rzeczywistością emigracyjną. Pierwsza powieść to obraz polskich emigrantów w Paranie; obecnie ukazała się jej druga część pt.: **„Wyspa Świętej Katarzyny"** (wyd. Książnicy — Atlas) będące analogiczną próbą powieściowego ujęcia bytu polskich kolonistów w innym stanie Brazylii, a mianowicie w Santa Catharina, która jest niejako wyspą wśród morza niemieckiego osadnictwa. Snuje się kilka wątków powieściowych: dzieje Marka, który kocha się w córce nacjonalisty niemieckiego Dehmego, Anki, poczynającej pionierską pracę nauczycielską na wyspie Świętej Katarzyny, instruktora, który dostaje się w splot dramatycznych sytuacyj i kilka innych drugoplanowych epizodów, tworzących barwne, pełne dramatycznego napięcia sytuacje. Akcja rozgrywa się na tle życia polskiej emigracji, ciężka praca pionierska, walka z dziką przyrodą, prądy nurtujące wśród kolonistów, i wreszcie napór ze strony niemieckich osadników, usiłujących pochłonąć polski żywioł, to wszystko jest interesującym podmalowaniem opowiadania, będącego odbiciem prostej rzeczywistości polskiego osadnictwa w Brazylii. Pawłowicz unika efektownego oszołomienia czytelnika egzotyką, na wszystko patrzy oczami kolonisty, który zżył się z niebezpieczeństwem przyrody, i dlatego nie jest ona tematem dramatycznych scen. Życie jest zawsze mniej dramatyczne, niżeli człowiek sobie wyobraża, toteż Pawłowicz w tym życiu szuka raczej szarej codzienności, niżeli drastycznej emocji. Dzięki temu jego powieść jest przekonywująca.

Dlaczego powieść Stanisława Piętaka p. t. **„Młodość Jasia Kunefała"** (wyd. Hoesicka) została odznaczona nagrodą młodych Pol. Akad. Literatury, pozostanie niewątpliwie nazawsze tajemnicą, bo trudno nawet po bardzo starannym poszukiwaniu dostrzec w niej jakieś wyróżniające się wartości artystyczne. Jest to powieść bardzo początkującego pióra, dzieło pisarza niezorientowanego we własnych przeżyciach artystycznych i nieumiejącego dać sobie rady z tematem. Nie można tej książki zaliczyć do literatury „wiejskiej", ponieważ wsi w niej nie czujemy, nie widać w niej również miasta. Naprawdę trudno ją zdefiniować, stajemy bezradni, podobnie jak sam autor czuje się niepewnie wobec własnego tematu. Ów Jaś Kunefał bohater powieści, jest romantykiem, jak autor zaraz na początku zaznacza, więc trzeba w to wierzyć, ale raczej gwałtem nasuwa się przekonanie, że to patentowany niedołęga (ktoś powiedział: prawdziwy konował), który sam nie wie czego chce i czego nie chce. Piętak gruntownie przestudiował Freuda, i freudyzmem starał się swoją powieść umocnić. Mowa więc o marzeniach sennych, potem w przeszłości rodowej nieszczęsnego Jasia szuka predyspozycji jego psychologicznej natury. Ale niestety, to wszystko ze sobą się nie trzyma. Jaś ostatecznie ma jakieś przebłyski przynależności do wsi, ale ciągnie do miasta, nie wie czego chce, a przedewszystystkim jest doskonałym typem erotomana, okrytego świętoszkowatą nieśmiałością. Ale może to wszystko jest właśnie zaletą tej nagrodzonej powieści? Przeczytałem ją po raz drugi, szukając zalet, które jej zyskały wyróżnienie, i mimo najszczerszych chęci nie mogę ich znaleźć. „Jaś Kunefał" jest ostatecznie serdecznie nudny, a powieść o nim gruntownie monotonna. Rozproszenie treści, gorączkowe chwytanie scen, aby się w powieści wreszcie coś działo, chaos w podejściach do tych czy innych powikłań psychologicznych, naiwność pewnych motywów — chyba to tylko o tej nagrodzonej powieści można powiedzieć. Znajdzie się tylko tu i ówdzie ładne opisy przyrody i ciekawe porównania, ale to jeszcze nie jest legitymacją do zaszczytnego wyróżnienia.

Wspomnę jeszcze krótko o małej książeczce ks. Andrzeja Krzesińskiego pt. **„Badania nad kulturą Dalekiego Wschodu na tle podróży dookoła świata"**, będącą zapowiedzią obszernego dzieła, w którym autor przedstawi wyniki swojej przeszło rocznej podróży, podczas której zwiedził Amerykę, Japonię, Chiny, nawet Tybet i Indie. Ks. Krzesiński jest autorem szeregu dzieł z zakresu filozofii, zajmuje się gruntownie badaniem współczesnej kultury. Te również badania miały na celu podróż do krajów Dalekiego Wschodu, podczas której zetknął się z najwybitniejszymi jego przedstawicielami (np. Gandhi, Rabidranath Tagore i inni), prowadził na tamtejszych uniwersytetach wykłady. Mając przed oczami zagadnienie: jakie szanse i znaczenie posiada kultura chrześcijańska w krajach Dalekiego Wschodu, wrócił z nastawieniem wybitnie optymistycznym. Wspomniana broszura jest zapowiedzią niezmiernie ciekawego dzieła.

Rozmaitości

HISTORIA KARTY POCZTOWEJ.

Karta pocztowa stała się tak powszechną, że nam nawet na myśl nie przyjdzie, iż istniał kiedyś czas, gdy jej nie znano. A jednak po raz pierwszy pojawiła się karta pocztowa w 1869 r. Wynalazcą jej był profesor politechniki wiedeńskiej, dr Emanuel Hermann. Na ten temat pojawił się nawet w „Neue Freie Presse" artykuł o „nowych sposobach prowadzenia korespondencji prywatnej". Artykułem tym zainteresowały się austriackie władze pocztowe i w październiku tegoż roku wprowadzono pocztówki w obieg. Nowy pomysł, naturalną koleją każdego nowatorstwa, miał swych adherentów, ale i też gorących przeciwników. W pierwszym ich szeregu kroczyły kobiety, które protestowały przeciwko tej otwartej formie korespondencji prywatnej. Mimo tych pretekstów, karta pocztowa w latach 1870 do 1875 przyjęła się powszechnie i dopuszczona została w międzynarodowym obiegu pocztowym. Około 1880 r. pojawiły się pierwsze widokówki.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Sprawa znanej enuncjacji kard. Innitzera i przyszłych losów katolicyzmu w Austrii nie przestaje interesować opinii katolickiej, a jej rozważanie nasuwa szereg refleksyj, które mogą być przydatne także i w innych krajach.

Zachodzi naprzód pytanie, czym tłumaczyć to pospieszne pogodzenie się z „faktem dokonanym" i to uznanie partii narodowo-socjalistycznej, które zaznaczyło się w enuncjacji Episkopatu Austrii, a potem także w liście kard. Innitzera? Wprawdzie oświadczenie kard. Innitzera, ogłoszone w „Osservatore Romano" po wizycie w Watykanie, przyniosło pośrednio odwołanie pierwotnego stanowiska Episkopatu, niemniej jednak pozostało i trwa ujemne wrażenie, iż katolicyzm austriacki w pierwszej chwili porzucił pozycje, których winien był bronić. Zwłaszcza, że katolicyzm w III Rzeszy, postawiony w nierównie gorszych warunkach, wykazał godną podziwu postawę w okresie sławnego już „plebiscytu" w dniu 10. IV...

KSIĄŻKA SPRZED 5 LAT.

Berlińska „Germania" (dawniej organ centrum, dziś „zglajchszaltowany" dziennik służący propagandzie hitleryzmu w kołach katolickich) zwraca uwagę na książkę znanego pisarza katolickiego w Austrii, dr. Böhma, pt.: „Katholischer Glaube u. deutsches Volkstum in Oesterreich" (Katolicka wiara i niemczyzna w Austrii), — na książkę wydaną jeszcze w r. 1933.

Autor — jak widać z obfitych cytatów podanych przez „Germanię" — docieka, na czym polega psychologiczny typ „Austriaka" i jak ta jego psychologia odbija się na religijności, na katolicyzmie Austrii. Ostateczny sąd dr. Böhma — nie zapominajmy: austriackiego pisarza — wypada ujemnie. Stwierdza on i dowodzi szeregiem historycznych argumentów, że katolicyzm austriacki przedstawia typ bierny, pasywny.

Jest on — pisze Dr. Böhm — w dużej mierze wypadkową historycznej ewolucji, a swoimi początkami sięga czasów baroku i tzw. kontrreformacji. Zaczął się formować w w. 17, kiedy państwo wzięło się do walki z reformacją, z protestantyzmem, i dla utrzymania jednolitości kulturalno-wyznaniowej społeczeństwa, zaczęło wszystkimi rozporządzalnymi środkami utwierdzać katolicyzm w kraju. Z tego czasu pozostało wśród austriackich katolików przeświadczenie, że obowiązkiem państwa jest zwalczać herezje i ruchy antykatolickie, oczywiście i środkami policyjnymi. To przeświadczenie rozbroiło moralnie katolicyzm austriacki, a kazało mu zbawienia w trudnych chwilach oczekiwać od państwa.

TRON.

Wiek 18 był z tego względu niepomyślny — pisze dr Böhm — dla Kościoła w Austrii. Zbytnie liczenie na państwo, nie na społeczeństwo, wyraziło się zaniedbaniami w dziedzinie organizacji kościelnej, duszpasterstwie itp. Wówczas to — pod koniec w. 18 — rozpoczyna się nowy okres w historii Kościoła w Austrii, okres józefinizmu. Cesarz Józef II — podnosi dr Böhm — chciał usunąć faktyczne i realne braki w życiu Kościoła, jego zaś błąd polegał na tym, że cesarz przekroczył najdalsze granice, jakie można było zakreślić uprawnieniom świeckiej władzy na terenie kościelnym. Dokonana przez niego „reforma" przyniosła zupełne uzależnienie Kościoła od państwa. Kościół w tym czasie nie tylko oglądał się — jak w okresie kontrreformacji — na państwo, ale stał się do pewnego stopnia jakby jego domeną i narzędziem. Wiadomo, że Józef II brał się nawet do regulowania sposobu odprawiania nabożeństw. Fryderyk II nazwał go „bratem zakrystianinem".

Te stosunki nie mogły Kościołowi zapewnić należnego autorytetu. Wiek 19 zaznaczył się w Austrii rozwojem antykatolickich tendencyj, zwłaszcza w kołach inteligencji. Dynastia habsburska oddawała mu wtedy wiele usług, ale równocześnie usuwała go w cień, zaciążyła nad nim. Gdy w innych krajach tworzy się wielka wiedza teologiczna, w Austrii jej nie ma... Austria habsburska — pisze dr Böhm — nie stworzyła żadnej „problematyki". Wszystko wówczas wydawało się proste i jasne; trudności pochodziły od „złych" ludzi, a walkę z nimi zostawiano tronowi.

HITLERYZM.

Z takim balastem psychologicznym weszła Austria w trudny dla siebie okres powojenny. Czym przed tym było państwo, monarchia, tron, władza publiczna, — tym teraz była partia chrześcijańsko-społeczna. Zespolenie interesów Kościoła z interesami partii, z jej zwycięstwami i jej klęskami, było nie zerwaniem z przeszłością, ale kontynuacją dawnej tradycji. Wywody dra Böhma można streścić w zdaniu: katolicyzm Austrii cierpi na chroniczną chorobę niesamodzielności w stosunku do czynników politycznych.

Artykuł „Germanii" przedrukowała „Reichspost", dorzucając szereg jeszcze nowych zarzutów, nawet obelg pod adresem przeszłości, i dowodząc, że prawdziwie szczęśliwe warunki rozwoju zdobędzie Kościół dopiero teraz pod rządami partii narodowo-socjalistycznej, ponieważ ta partia rzekomo stoi na stanowisku ścisłego rozdzielenia sfery „czysto religijnej" od polityczno-partyjnej.

Wniosek wiedeńskiego pisma wydaje się zupełnie fałszywym. Jak wygląda prawdziwy stosunek hitleryzmu do religii, o tym mówi historia III Rzeszy, i te wydarzenia, które Piusa XI skłoniły do wydania enc. „Mit brennender Sorge". Stanowczo nie wynika z nich, by hitleryzm miał ochotę zostawić w spokoju dziedzinę „czysto religijną".

Natomiast trzeba przyjąć rezultat badań dra Böhma, gdy przyczynę słabości katolicyzmu austriackiego upatruje w jego uzależnieniu się od państwa i w tej psychologii, która duszpasterskimi obowiązkami obarcza policję... Kościół skutkiem tego traci swój dynamizm, jego życie biurokratyzuje się, zanika w nim zapał apostolski, zrozumienie mas i potrzeb duchowych człowieka, a okres przewrotu politycznego zastaje go nieprzygotowanym do nowej sytuacji.

Pejot.

Z obcej niwy

Krucjata przeciwko powszechnemu kłamstwu

„Mówią, że nieraz trudniej jest uświadomić sobie obowiązek, aniżeli go wypełniać. W chwili obecnej powstaje nowa trudność: nie tylko że trudno odnaleźć drogę swego obowiązku, ale nie sposób po prostu rozeznać prawdy, bowiem kłamstwo opanowało świat..."

Słusznym tym spostrzeżeniem zaczyna swój artykuł p. t. „Kłamstwo" na łamach „La Croix" znany publicysta paryski, Joseph Zamanski. Nigdy jeszcze nie potrafiono tak dalece otumaniać ludzkości jak obecnie, gdy się operuje kłamstwem tak w poszczególnych państwach, jak i na arenie międzynarodowej. Całe narody idą na oślep za sztandarami, na których widnieją jaskrawo sprzeczne hasła, narzucone przez władców. We wszystkich państwach świata, w najróżniejszych krajach i okolicach kuli ziemskiej przeciwstawiają się sobie najbardziej fałszywe postulaty, argumenty i hasła. Tej potwornej grze przychodzą niestety z wydatną pomocą postępy techniki współczesnej. Potężna prasa sprzedaje bądź wiadomości, bądź milczenie, radio rozpowszechnia poza granice państw oszczerstwa i kalumnie.

„Świat — pisze publicysta paryski — stał się terenem działania najróżnorodniejszych szantażystów, a stosunki pomiędzy państwami przypominają grę w pokera. Duch kłamstwa znalazł w tej grze doskonałych partnerów, antychryści mnożą się coraz bardziej, zanim nadejdzie dzień przyjścia największego i ostatniego złego ducha".

Mówiąc następnie o wysiłkach ludzkości w kierunku zwalczania niesprawiedliwości i o Lidze Narodów, słusznie zauważa Zamanski, że jeśli instytucja ta, zamiast rozszerzać swoje wpływy i przybierać na znaczeniu, staje się coraz bardziej bezsilną, winę ponoszą za to narody, które ją zwalczały lub nią pomiatały. Teraz gdy to sumienie międzynarodowe, ta przedstawicielka międzynarodowej moralności została doprowadzona do kompletnej bezsilności, cóż innego może opanować świat jak nie prawo pięści? Jakże łatwo dziś, gdy nie ma właściwego sędziego, rozsądzającego sprawy międzynarodowe, przedstawiać światu najbardziej nieprawdopodobne argumenty i najbardziej cyniczne tłumaczenia, oskarżać jakiś kraj o bolszewizm po to, aby móc po tym pretekstem bezkarnie go potem napaść.

„Jakże dogodnym pretekstem, jaką genialną inwencją jest ta wojna z komunizmem. Nie tyle genialna, co szatańska, bowiem eksploatuje pewne zasady i, wybrawszy sobie za przeciwnika doktrynę sprzeczną z zasadami humanitarnymi i zbudowaną na samych błędach, udaje wobec tego przeciwnika szlachetnego rycerza krzyżowego. Tylko, że zamiast krzyża na płaszczach tych rycerzy widnieje swastyka. Duch kłamstwa przeszedł tutaj sam siebie".

Jak z puszki Pandory wylażą na świat najgorsze fałsze: rasizm, sublimowany nacjonalizm, totalizm państwowy, mające tym większy wpływ na bezkrytyczne umysły, że wynikają ze zniekształconej rzeczywistości — zniekształconej przez nienawiść. Powstaje nowa moralność nic nie mająca wspólnego z moralnością wrodzoną lub objawioną. Zło nie byłoby tak straszne i tak niebezpieczne — nie pierwszy to bowiem raz siły piekielne usiłują zabrać ludzkości dziedzictwo Chrystusowe — gdyby nie to, że właśnie chrześcijanie, ci chrześcijaunie, którym zostało dane światło wiecznej etyki, przykładają rękę do tego dzieła niszczenia. Dlaczego? Przez nieświadomość, przez słabość, przez namiętności polityczne. Przed dziedzicami Prawdy powstaje teraz wielkie zadanie: trzeba czym prędzej dać naszym braciom, zatrutym jadem, antidotum na tę truciznę. Trzeba ich nauczyć rozpoznawać kłamstwo w hasłach, grających na ich najmniej szlachetnych instynktach. Trzeba ich przekonać, że nie mają prawa uciekać się do broni, używanej przez przeciwników. Trzeba ich wydobyć po za krąg wpływów konformizmu politycznego gdy nie chcą uznać jedynego prawdziwego konformizmu Kościoła i zasad chrześcijańskich. Trzeba im w końcu przywrócić odwagę moralną, tę odwagę, która sprawia, że człowiek nie obawia się stawiać czoła nawet całemu światu, gdy ten świat jest w błędzie.

Kanonizacje świętych polskich

Najdawniejszą z historycznie znanych kanonizacyj Polaków jest kanonizacja **św. Stanisława Biskupa Męczennika**, której dokonał papież Innocenty IV w dniu 8 września 1253 r. w kościele św. Franciszka w Asyżu. Św. Stanisław zginął śmiercią męczeńską w dniu 11 kwietnia 1079 r. W r. 1088 nastąpiło uroczyste przeniesienie jego zwłok z kościoła św. Michała na Skałce do katedry krakowskiej. Sprawę kanonizacji podjął biskup Iwo Odrowąż (1218—1229), szczęśliwie doprowadził ją do końca jednak dopiero biskup Prandota z Białaczowa (1242—1266). Innocenty IV wyznaczył komisję (złożoną z Pełki, arcybiskupa gnieźnieńskiego, Tomasza, biskupa wrocławskiego i Henryka, opata lubiąskiego) do zbadania cudów św. Stanisława, a następnie powtórną pod kierownictwem Jakuba z Velletri, umyślnie przybyłą do Polski w r. 1252. Stanowiło to ostatni etap procesu kanonizacyjnego, który uwieńczony został ogłoszeniem bulli kanonizacyjnej w roku następnym.

Drugą z kolei była kanonizacja **św. Kazimierza** królewicza, trzeciego syna króla Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Austriaczki. Ogłoszona ona została przez papieża Leona X w r. 1521. Św. Kazimierz, gorliwy czciciel N. P. Maryji, jest autorem hymnu ku czci Matki Bożej „Omni die dic Mariae". Odpis tego hymnu znaleziono obok nieuszkodzonych zwłok Świętego, gdy trumnę jego otwarto w r. 1604.

W dniu 17 kwietnia 1594 roku papież Klemens VIII ogłosił uroczyście kanonizację **św. Jacka Odrowąża**, który zmarł w Krakowie w dniu 15 sierpnia 1257 roku. Św. Jacek czczony jest także w obrządkach syryjsko-maronickim i ambrozjańskim.

Następne kanonizacje świętych polskich odbyły się dopiero w XVIII w. Pierwszą z nich była kanonizacja **św. Stanisława Kostki**, ogłoszona przez papieża Klemensa XI w dniu 13 listopada 1714 r., aczkolwiek sam uroczysty obrzęd kanonizacyjny odbył się dopiero 31 grudnia 1726 r. za pontyfikatu Benedykta XIII. Kult św. Stanisława Kostki, zmarłego w 18 roku życia w dniu 15 sierpnia 1568 roku, rozpoczął się właściwie z chwilą jego zgonu. Fakt ten oraz liczne za przyczyną św. Stanisława wyjednywane łaski, zwłaszcza w Polsce, sprawiły, że Klemens X zezwolił w r. 1670 na odmawianie papierzy kapłańskich i odprawianie Mszy św. ku jego czci, a następnie w r. 1674 ogłosił św. Stanisława Kostkę patronem Polski. Od tej chwili proces kanonizacyjny począł postępować w bardzo żywym tempie.

Drugą w XVIII w. była kanonizacja **św. Jana Kantego**, zmarłego w dniu 24 grudnia 1473 roku, prałata kolegiaty św. Floriana w Krakowie na Kleparzu i profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Papież Innocenty XI w roku 1680 pozwolił na odprawianie Mszy św. i odmawianie pacierzy kapłańskich ku czci Jana Kantego, zaś Aleksander VIII w dniu 16 września 1690 roku ogłosił jego beatyfikację. Kanonizacja św. Jana Kantego dokonaną została przez Klemensa XIII w dniu 16 lipca 1767 roku.

Ostatnią jest kanonizacja św. Andrzeja Boboli w dniu 17 kwietnia 1938 r.

—oOo—